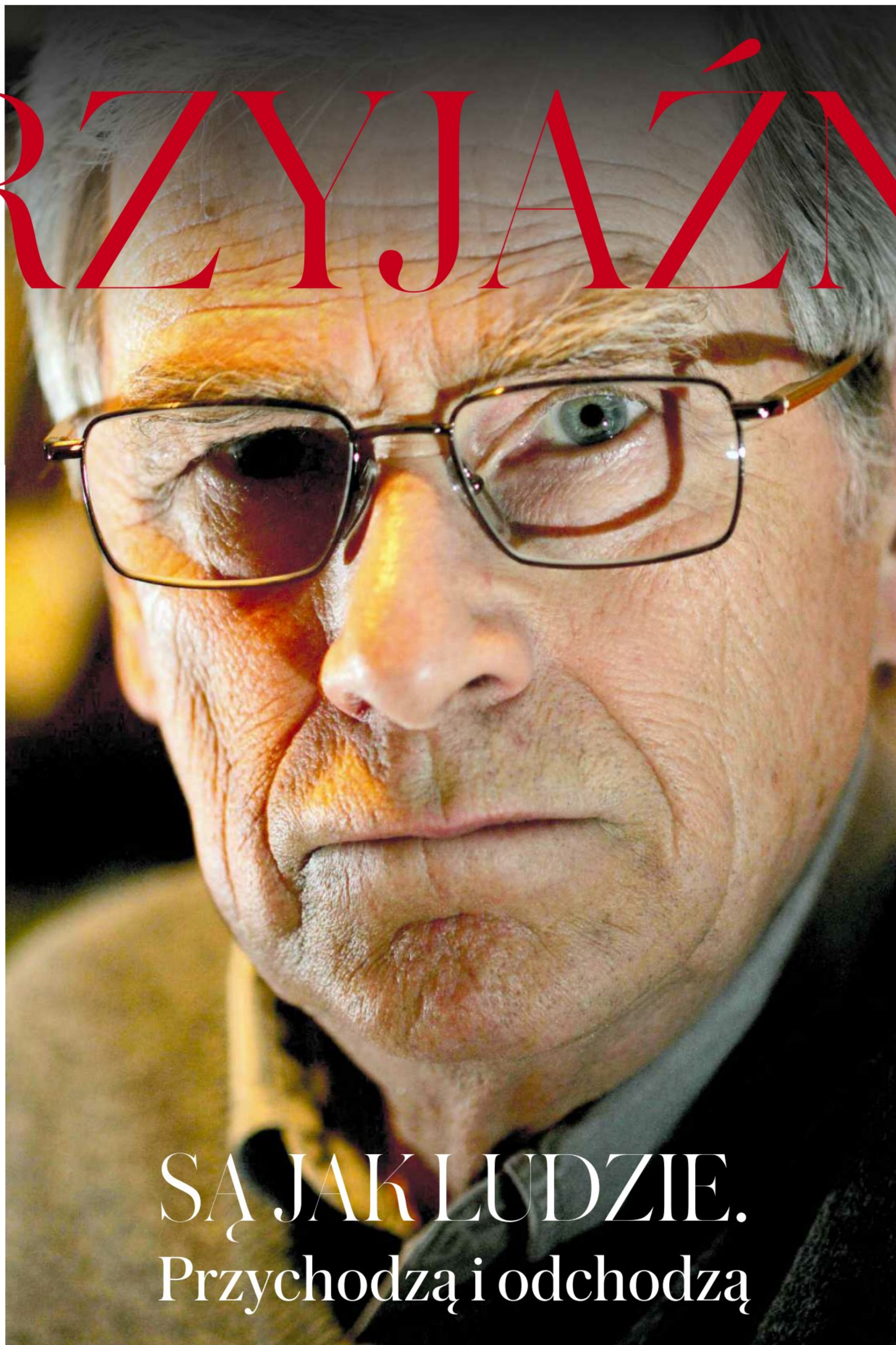


Adam Michnik poleca

PRZYJAŹNIE



FOT. ADAM KOZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

SĄ JAK LUDZIE. Przychodzą i odchodzą

Z **KAZIMIERZEM ORŁOŚ***
ROZMAWIA **KRZYSZTOF LISOWSKI****

KRZYSZTOF LISOWSKI: Porozmawiamy o twoich przyjaźniach literackich. Jak je pamiętasz? Warszawskie redakcje, radia, kawiarnie, siedziba Związku Literatów? W latach 60., 70., później? Kogo tam spotykałeś?

KAZIMIERZ ORŁOŚ: Pierwszym moim rozmówcą w kawiarni Związku Literatów był Igor Newerly, któremu, jako opiekunowi Koła Młodych przy ZLP, wysłałem swoje opowiadania. To było ważne dla mnie wydarzenie, jeszcze przed debiutem. Był rok 1955. Zaczęłem studiować na pierwszym roku Wydziału Prawa UW. Jednocześnie próbowałem pisać.

Do dziś pamiętam atmosferę tamtej kawiarni – zapachy kawy i fajki, którą ktoś palił. I swoją treść. Siedząc w kącie sali i czekając, miałem wrażenie, że wszyscy na mnie patrzą, choć oczywiście nikt nie zwracał uwagi. Dopiero w czasie rozmowy z Newerlym odzyskałem spokój. Udzielił mi wtedy rady, którą dziś mógłbym powtórzyć każ-

demu młodemu człowiekowi próbującemu pisać: „Najpierw trzeba poznać życie, potem pisać”.

W tamtych pierwszych latach pisania zacząłem odwiedzać redakcje, m.in. „Współczesności” – literackiego pisma młodych. Powstało dzięki grupie entuzjastów na fali odwilży październikowej w 1956 r. Później, stopniowo, było przejmowane przez władzę, ale ja je pamiętam jeszcze z tego pierwszego okresu, po socrealizmie było czymś nowym i niezwykłym. Redakcja była na Krakowskim Przedmieściu i kilka razy zanosilem tam swoje opowiadania.

Wręczałem maszynopisy redaktorom „od prozy” i to były moje pierwsze kontakty z Władysławem Terleckim, późniejszym autorem powieści historycznych, i Ernestem Brylem, później znanym poetą. W redakcji zawsze był tłok, dużo młodych ludzi ze świata literackiego Warszawy.

Ale też, w tamtych latach – pod koniec 50. i na początku 60. – drukowali we „Współczesności” swoją prozę przyszli znani pisarze, a także moi przyjaciele Marek Nowa-

kowski i Włodzimierz Odojewski. Pamiętam też Henryka Grynberga, Mariana Pilota, Janusza Krasińskiego czy Jana Himilsbacha. Wszystkich nas zaczęto potem nazywać „pokoleniem »Współczesności«”.

W 1961 r. w kawiarni Czytelnika poznałem Marka Nowakowskiego. A dzięki Markowi trochę później także znanych wówczas pisarzy Adolfa Rudnickiego i Wilhelma Macha.

Po dwóch wydanych książkach zostałem przyjęty do ZLP, uzyskałem status literata. Ale po skończeniu studiów – w latach 60. i w pierwszej połowie 70. – pracowałem najpierw jako prawnik stażysta, a potem radca prawny na budowach w Turossowie i Solinie. Żyłem w zupełnie innym świecie. Znacznie ciekawszym od świata redakcji i kawiarni w Warszawie.

Dopiero koniec lat 70. i lata 80. oraz okres festiwalu „Solidarności” przyniosły zmianę. We Francji, w Instytucie Literackim, po „Cudownej melinie” ukazało się „Trzecie kłamstwo” – druga moja powieść. W kraju byłem od kilku lat „emigrantem

wewnętrznym”. Od 1976 r. nie pracowałem już na budowach – próbowałem żyć z pisania i honorariów, jakie od czasu do czasu miałem z Zachodu, a także z publikacji w „drugim obiegu”.

•

Jakich miałeś przyjaciół w środowisku literackim z pokolenia starszych – tych, którzy brali udział w wojnie?

– Takim przyjacielem był Władysław Ślesicki. Reżyser, filmowiec, nie literat. Nazywany „poetą ekranu” – autor wyjątkowo pięknych dokumentów, m.in. poruszającego – o losie bezdomnego psa, „Wśród ludzi”.

Poznałem Władysława w 1966 r., kiedy zainteresował się opowiadaniem „Nieobecny” z mojego tomu „Koniec zabawy”. O dziewczynie z dzieckiem na ręku, która bezskutecznie szukała na wielkiej budowie narzeczonego – ojca swego dziecka. Tłem był Turossów i tam ktoś taką historię mi opowiedział. Ślesicki chciał zrobić pierwszy film fabularny. I tę historię uznał za dobry

temat. Przyjechał do Soliny, tam to wszystko omawialiśmy.

Zespół Filmowy „Iluzjon” kupił ode mnie nowelę „Nieobecny”, a Ślesicki napisał scenariusz. Niestety, Komisja Scenariuszowa nie wyraziła zgody na realizację. Dla towarzyszy z PZPR był to zbyt czarny obraz rzeczywistości. Nie tak wyobrażali sobie pracę na wielkich budowach i obywateli Polski Ludowej.

Ślesicki odwiedzał mnie kilkakrotnie w Bieszczadach. Tam się zaprzyjaźniliśmy. Był zafascynowany miejscem. Namówilem go na zrobienie dokumentu o budowie zapory na Sanie. Tak powstał film „Energia”. Obraz wielkiej budowy lat 60. w PRL.

Drugim moim przyjacielem z pokolenia walczących w czasie wojny był Marian Brandys. Starszy (rocznik 1912), raczej bliżej pokolenia moich rodziców, prawie całą wojnę przeżył w oflagu, ale w 1939 r. jako oficer rezerwy przeszedł kampanię wrześniową z Grupą „Polesie” gen. Kleeberga. We wspomnieniach i prozie opisał potem szlak tego zgrupowania – od okolic Pińska w stronę Warszawy, zakończony bitwą pod Kockiem. To było wojsko, które skutecznie biło się z Niemcami i Armią Czerwoną.

Z Marianem poznaliśmy się i zaprzyjaźniliśmy dopiero pod koniec lat 70., kiedy zacząłem go odwiedzać jako jeden z redaktorów „Zapisu”, literackiego kwartalnika wydawanego poza cenzurą. Ale cały czas pamiętałem, że był człowiekiem, który po ukazaniu się „Meliny” we Francji w 1973 r., w najgorszym dla mnie okresie, kiedy byłem wyrzucany z pracy i obejmowany „opieką” przez SB – napisał do mnie list z wyrazami otuchy i solidarności: „Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł w jakiś sposób Panu pomóc. Proszę mnie traktować jak przyjaciela”.

Wiele razy odwiedzałem Mariana w mieszkaniu na Marszałkowskiej. Przed i po śmierci jego żony – aktorki Haliny Mikołajskiej, członkini KOR. Zwłaszcza w tym najbardziej smutnym i trudnym dla niego okresie życia. Dużo mi opowiadał o pobycie w oflagu, swoim uwikłaniu w stalinizm po wojnie, ale także o zdobywaniu Berlina w 1945 r., co widział na własne oczy jako korespondent wojenny.

Zanosilem mu do przeczytania maszynopisy swoich opowiadań, które niezmiennie oceniał wysoko. Za jego pośrednictwem pod koniec 1988 r. poznałem dyrektora wydawnictwa Iskry Wiesława Uchańskiego i po kilku rozmowach podpisałem umowę w sprawie pierwszego wydania mojej „Cudownej meliny” w kraju. Ukazała się na wiosnę 1989 r.

Na tytułowej stronie wydanego przez Iskry „Dziennika” z lat 1976-77 napisał obszerną dedykację, kończąc słowami: „pozdrawiam Cię z serca”. Był kwiecień 1996 r. Zmarł dwa lata później.

A twoje pokoleniowe przyjaźnie? Którzy z twoich przyjaciół z perspektywy lat pozostają ci najbliżsi, najważniejsi?

– Większość moich przyjaciół z pokolenia urodzonych w latach 30. już nie żyje. W roku 2014 zmarł Marek Nowakowski, z którym przyjaźniliśmy się od lat 60. Bardzo wysoko cenię jego twórczość. Jest dla mnie klasykiem polskiej prozy realistycznej.

Jeśli „przyjaciół poznaje się w biedzie”, Marek wobec mnie spełnił ten warunek z nawiązką. Był jednym z pierwszych, którzy gratulowali wydania „Meliny” u Giedroycia. Stał się obecny w czasie, kiedy miałem różne „nieprzyjemności” ze strony władz PRL. Odwiedził mnie na „zesłaniu”, gdy pracowałem jako referent prawny pod Piotrkowem. Na zjeździe ZLP w Poznaniu w 1975 r. odczytał mój list do delegatów wyjaśniający, dlaczego nagle zniknąłem z życia literackiego w kraju i nie mogę publikować. Nie wahał się odczytać tego listu, wiedząc, że władze na pewno potraktują to jako „wrogie” wystąpienie.

W latach ostatnich przed śmiercią Marka nasze drogi rozeszły się z przyczyn politycznych. Jednak przed jego odejściem nastąpiło

pojednanie. Był jednym z najbliższych moich przyjaciół.

Na przełomie lat 80. i 90. zaprzyjaźniłem się z Włodzimierzem Odojewskim. W 1971 r. wyjechał i został na Zachodzie. Później, jako redaktor sekcji literackiej Radia Wolna Europa, wiele razy nadawał – w cyklu „Na czerwonym indeksie” – moją prozę publikowaną w wydawnictwach emigracyjnych. W odcinkach powtarzanych codziennie o różnych porach czytane były „Cudowna melina” i „Trzecie kłamstwo”.

Dzięki temu wielu słuchaczy RWE poznało moje książki mimo zakazu publikacji w kraju. Przekonałem się o tym, słuchając głosów „radiowych czytelników” na spotkaniach autorskich w różnych zakładach pracy organizowanych przez „Solidarność”. Podobnie inni „zakazani” w kraju autorzy mieli swoich czytelników dzięki RWE. Wielka w tym zasługa Odojewskiego.

Jego twórczość – powieści, np. „Zasypie wszystko, zawieje”, jego styl – długie zdania, brak dialogów – były czymś zupełnie innym od moich krótkich opowiadań, prostych zdań, prozy pozbawionej obszernych dygresji i wstępów. A jednocześnie „melodia” tej prozy była dla mnie sugestywna i narzucająca się. W okresach, kiedy próbowałem pisać, unikałem czytania Odojewskiego.

W opowiadaniu Marka Nowakowskiego ubek nie pozwala chłopakowi i dziewczynie na czułości obok cmentarza żołnierzy radzieckich. To ja byłem tym chłopakiem

Już po jego powrocie do Warszawy, po roku 2000, został oskarżony o współpracę z SB w latach 60. Istotnie, przez kilka miesięcy, jako redaktor radiowego Studia Słuchowisk Współczesnych, spotykał się w kawiarniach z esbekami, którzy wypytywali o stosunki panujące w radiu i ludzi tam pracujących. Był szantażowany, bo z pominięciem polskiego banku PKO otrzymywał honoraria za książki tłumaczone na Zachodzie. Ale o każdym spotkaniu opowiadał przyjaciołom – Igorowi Newerlemu i jego synowi Jarosławowi. W rezultacie doprowadził do zerwania kontaktów, w czym pomógł także Jerzy Putrament.

Jednak ślady tych spotkań pozostały i są w IPN-ie. Czyli teczki z notatkami z rozmów, raporty esbeków dla przełożonych, opinie. Nie podpisał deklaracji „współpracy”, nie złożył niczego na piśmie. A jednak zaczął być nazywany „współpracownikiem” przez dziennikarzy, którzy go oskarżali. Moim zdaniem nikomu nie zaszkodził. Ale te oskarżenia, atmosfera, jaka wokół niego powstała, odsunięcie się niektórych przyjaciół, były na pewno przyczyną jego wcześniejszej śmierci. Doprowadziły do wytrącenia pióra z ręki i kompletnego załamania. Poczul się odrzucony, napiętnowany i samotny.

Odwiedziliśmy Włodzimierza w Domu Muzyka Seniora pod Warszawą, gdzie umieszcila go córka. Zobaczyliśmy z moją żoną Teresą, jak bardzo się zmienił, jak bardzo jest przygnębiony i słaby fizycznie. Zmarł niedługo potem.

W latach 70. i 80. – w czasie zaangażowania tak wielu z nas w działania opozycji demokratycznej, wspólnego redagowania „Zapisu”, w stanie wojennym – takich przyjaźni zawiązywało się bardzo dużo. „Zapisowymi” przyjaciółmi byli Jacek Bocheński, Wiktor Woroszyński, Teresa Bogucka i Adam Michnik. Także Tomasz Burek. Z tamtego czasu wywodzę też moje przyjaźnie z reżyserem Bohdanem Kosińskim, Januszem Andermanem, Antkiem Liberą i Martą Fik.

Generalnie sądzę, że przyjaźnie, podobnie jak ludzie, są i odchodzą. Tak jak dyktuje życie.

Czy u ciebie i Marka Nowakowskiego pojawiały się jakieś wspólne wątki? Lub będące opisem jakiegoś wspólnego doświadczenia?

– Jest takie opowiadanie Marka „Tutaj całować nie wolno”. Zapytał mnie, czy może je napisać, wykorzystując autentyczne wydarzenie, o którym mu opowiadałem. Otóż w latach gimnazjalnych – w 1951 lub 1952 r. – poszliśmy z moją pierwszą sympatią Basią do niedawno otwartego parku przy al. Żwirki i Wigury, wokół cmentarza żołnierzy radzieckich. I tam nagle – w chwili, gdy całowałem Basię – podszedł do naszej ławki cywil, który oświadczył, że „tu się całować nie wolno”, bo profanujemy cmentarz i pochowanych bohaterów.

Cała ta sytuacja i rozmowa z tym „łapsem” z UB – domagał się legitymacji szkolnych i opuszczenia ławki – przypominała „Rok 1984” Orwella, co uświadomiłem sobie po latach. W końcu zostaliśmy na ławce, przy czym bardziej odważna była Basia. „Łaps” odszedł w końcu, ale zapewne obserwował nas zza krzaków. A ja do dziś się wstydzę, że wtedy nie pocałowałem więcej swojej pierwszej dziewczyny. Na tamtej ławce.

Marek więc to wydarzenie wykorzystał w swoim opowiadaniu, na co wyraziłem zgodę. Ja to także opisałem, bodajże w opowiadaniu „Chłopcy z »Albatrosa«” i w autobiografii.

Wspólnym doświadczeniem – jak całego społeczeństwa – był stan wojenny i rok 1982. Podziwiałem wtedy Marka za jego opowiadania drukowane w podziemnym „Tygodniku Mazowsze”, później wydane w dwóch tomach „Raportu o stanie wojennym”.

Czy miałeś też przyjaciół poetów? W tamtych dawnych czasach? A dzisiaj?

– Pierwszym poetą, z którym się zaprzyjaźniłem, był Wiktor Woroszyński – w okresie redagowania „Zapisu” i naszej walki z cenzurą. Wtedy ocenilem też talent organizacyjny i redaktorski Woroszyńskiego. Z pewnością dzięki niemu „Zapis” przetrwał najtrudniejszy pierwszy okres i stał się czytany jako pismo literackie wydawane poza cenzurą. Poznałem wtedy także jego twórczość, przede wszystkim wiersze drukowane w „Zapisie”. Zwłaszcza zapamiętałem strofę wiersza „Nigdy nie byłem taki wolny” – ten powtarzany zwrot przypominał bijący dzwon.

Nie rozmawiałem z Wiktorem o jego zaangażowaniu w komunizm po wojnie. Należał do pokolenia, które zrozumiało swój błąd, a swoją walką z dyktaturą w późniejszych latach odkupiło moim zdaniem winy. W latach 70. i 80. byliśmy wszyscy całkowicie skupieni na przeciwstawianiu się ogromnej – nękającej coraz większą liczbę ludzi związanych z kulturą – PRL-owskiej cenzurze. To były przecież urzędy kontrolujące każde słowo drukowane, narzucające swoją wizję rzeczywistości zgodną z linią partii. Zatrudniały tysiące cenzorów i zakłamywały rzeczywistość, nie mówiąc już o historii. Były podporą coraz bardziej represyjnego systemu.

Jednym z wydarzeń związanych z naszą przyjaźnią była wizyta w DarłóWKu, gdzie po grudniu 1981 r. trzymano dużą grupę internowanych, m.in. Wiktora. Nie byłem internowany i miałem samochód, więc postanowiłem pomóc przyjaciołom, wożąc do nich żony. Dwukrotnie wozilem tam swoją ładą panie Geremkową i Wierzbicką oraz osobno Woroszyłską i Drawiczową.

Noclegi były w klasztorze niedaleko DarłóWka, bodajże franciszkanów. Rano wiozłem panie pod baraki na peryferiach DarłóWka, gdzie trzymano internowanych. A jeździłem z Warszawy tą samą trasą – przez Płońsk, Sierpc, Rypin, Brodnicę – przejeżdżaliśmy most nad Wisłą blisko Grudziądza – i dalej przez Bory Tucholskie, Chojnice, Biały Bór, Miastko, Sławno do Darłowa i DarłóWka, więc to był kawałek Polski do oglądania przez okna. Lasy, lasy, wsie, miasta i miasteczka, co – gdyby nie cel po-

droży – byłoby dla pań, które wozilem, tłem pięknej wycieczki. No i nazwy miejscowości jak słowa do wierszy.

Z Wiktorem postanowiłem się zobaczyć, przedstawiając się w biurze przepustek obozu jako kuzyn – brat stryjeczny (pozwolenia na widzenia wydawano tylko członkom rodzin). Esbecy nie byli, oczywiście, naiwni i spotkania odmówiono. Wiktor podobno odwoływał się do komendanta, a na korytarzu głośno wyrażał oburzenie, wołając: „Brata mi nie wpuścili!”. Oto przykład wyjątkowych więzi, jakie wówczas nas łączyły – ludzi opozycji.

A „współczesne” przyjaźnie? Oczywiście, miałem i mam przyjaciół poetów. Jeden z nich – człowiek wyjątkowy – już nie żyje. Mówię o Januszu Szuberze, którego poznałem za pośrednictwem Antka Libery w latach 90. W momencie, kiedy już zdecydował się na ujawnienie swego talentu i opublikowanie swych wierszy. Prosił mnie o poparcie wniosku o przyjęcie do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, co po przeczytaniu jego wierszy natychmiast zrobiłem.

Pamiętam też pierwszą wizytę u Janusza (pojechaliśmy z Teresą na południe Polski i byliśmy m.in. w Sanoku). Mieszkał jeszcze w starej kamienicy, chyba na drugim piętrze, gdzie on – inwalida na wózku – mógł się czuć uwięziony. Był człowiekiem pełnym humoru, gościnnym i przyjaznym. Mieszkanie na sanockim Rynku, na parterze, dostał później.

Wielokrotnie wracałem do wierszy Janusza w kolejnych tomach publikowanych przez WL i zdaje się, zawsze redagowanych przez ciebie, Krzysztofie. Pamiętam „Czerzeń”, „Wpis do ksiąg wieczystych”, inne zbiory, w których szukałem tych związanych z Bieszczadami, historią ziemi sanockiej i dziejami rodzinnymi.

Zadziwiające, że jurorzy największych polskich nagród literackich nie zauważyli Janusza i nie docenili jego wielkiego talentu – póki żył. A docenili go i podziwiali poeci nobliści Czesław Miłosz i Wisława Szymborska.

Przyjaźnię się także z Wojciechem Kassem, którego również zaliczam do kilku wybitnych poetów współczesnych. Kontakt jest bliski ze względu na mazurskie sąsiedztwo. Wojtek z żoną Jagienką są kustoszami Muzeum Gałczyńskiego w Praniu nad Jezio-rem Nidzkim.

I w końcu, Krzysztofie, mogę powiedzieć, że Ty również jesteś moim przyjacielem poetą. Cenię bardzo w twojej poezji obraz tego, co dzieje się w naszym kraju. To, że nawiązujesz do tradycji poetów z czasów opozycji w PRL – Krynickiego i Barańczaka. Jest taki twój wiersz, który wyciąłem z „Wyborczej” i który znakomicie oddaje tę naszą współczesną sytuację: „Lemuel Guliwer w krainie Polaków”.

Niestety, i Was obu wielcy jurorzy wielkich nagród nie dostrzegają. ●

***Kazimierz Orłoś** – ur. w 1935 r., pisarz, scenarzysta, publicysta. Autor m.in. „Cudownej meliny” wydanej u Jerzego Giedroycia. W 2015 r. opublikował wspomnienia „Dzieje dwóch rodzin. Mackiewiczów z Litwy i Orłosiów z Ukrainy”, a w 2019 r. autobiografię „Dzieje człowieka piszącego”

****Krzysztof Lisowski** – ur. w 1954 r., poeta, krytyk literacki, redaktor. Ostatnio opublikował tom wierszy „Wieści dobre i złe” i tom esejów „Jakiś Odys i inne pisaniny”. Urodzony dziewięć lat po wojnie w Krakowie, gdzie dotąd mieszka

wyborcza.pl

● Tekst jest fragmentem wywiadu rzeki „Rozmowy o ludziach i pisaniu”. Publikowany rozdział o przyjaźniach literackich został znacznie skrócony. Książka jest w planach Wydawnictwa Literackiego
Więcej: Wyborcza.pl/magazyn